

Objawienie.

Mister Stephen Wonderlie był głęboko przekonany że osobistość jego jest wyjątkowa i nieprzeciętna. Wiadomo, iż jest to wielce miłe uczucie, zwłaszcza w pięćdziesiątym roku życia — najlepszym okresie pracowitego przemysłowca.

Wonderlie był silnie i elastycznie zbudowanym mężczyzną, zdrowym, despotycznym i nieugiętym. Ożeniony z kobietą słabego charakteru, stał się dla niej czczonym półbogiem, i cześć tę usiłowała przełać w troje dorosłych już dzieci. Jednakże najstarszy syn ożenił się samowolnie z ukochaną przez siebie dziewczyną i opuścił dom rodzicielski, zarabiając na utrzymanie pisaniem romansów.

Młodszy syn, kaleka, i córka żyli w nieustannej trwodze przed wybuchami gniewu ojca, nie mając nic z młodości swojej.

Wonderlie był właścicielem wielkiego banku i członkiem licznych towarzystw. Jednego tylko niedostawało despotycznemu mężczyźnie — był głuchy. Ogłuchł w młodości, gdy nie miał jeszcze środków na kosztowne leczenie — i głuchota pozostała już na zawsze. W ciągu czterdziestu blisko lat oswoił się z tem zupełnie i zdawało się, że nie ucywał braku zasadniczego zmysłu.

Codziennie o ósmej budziła żona Stephen Wonderlie i podawała mu filiżankę własnoręcznie naparzonej herbaty i leciutkie biszkopciki.

Wonderlie stale narzekał na bezsenność, krzywił się przy herbacie, a gdy pochylona postać żony niknęła za kotarą — wstawał z łóżka z uśmiechem zadowolonej złościwości.

Zwymyślał następnie służbę, że nie dość sprawnie pomaga mu w ubieraniu i nie dość szybko przynosi ciepłą wodę — wreszcie zjawiał się w jadalni, gdzie oczekiwała go już przy śniadaniu rodzina. Przeważnie nie mówiono nic, jeśli zaś zahukana trójka odważyła się zamienić słów parę, pytał Wonderlie z sarkazmem:

— Cóż, u djaska, myślicie, że to miło być ignorowany przy własnym stole?

Gdy zaś dzieci lub żona odzywały się do niego i wyraźnie akcentowały słowa aby je zrozumiał Wonderlie zaklinał, aby nie robili tak głupich min i nie otwierali ust szeroko niczem dzikusy.

Po śniadaniu Wonderlie udawał się na dworzec i podmiejską kolejką, gdyż willa je go znajdowała się w ogrodowej dzielnicy, udawał się do Londynu. Po drodze uważnie patrzył, czy wymijający go przechodnie, bez wyjątku prawie znajomi, dość umiowanie mu się kłaniają.

Na dworcu służba kolejowa starała się zadowolnić go we wszystkim i Wonderlie żałował tylko, że nie mógł słyszeć tych wszystkich pozdrowień i serdeczności, jakimi darzyli go bezwzględnie kornie zgięci w ukłonach tragarze i konduktorzy.

Przed bankiem witał go portjer, w salach wstawali urzędnicy, a Wonderlie z miną triumfatora zniknął w swym gabinecie, skąd wnet rozlegały się krzyki i nagany.

Mały, krępy doktor O'Calli zapewnił Wonderlie'ego, że może go wyleczyć z głuchoty. Kurację przeprowadzi w ciągu miesiąca w swym sanatorium. Wonderlie zaprzagnął żywiołowo odzyskać słuch i w zupełnej tajemnicy udał się do doktora O'Calli.

Po pięciu tygodniach powrócił do Londynu uzdrowiony...

Wszystko wydawało się Stephen Wonderlie piękniejszym i żywszym, każde drzewo mówiło mu więcej szelestem listków, niż bujna zielenią.

Pogodnie usposobiony wsiadł do auta i kazał się przedewszystkiem zawieźć do banku. Rzucił szoferowi zapłatę, a do pochylonego w ukłonie, uśmiechniętego radośnie portjera, rzekł przyjaźnie:

— Jak się masz, Simmonsie?

— Więc już wróciłeś, stary draniu! — odparł portjer, kłaniając się jeszcze niżej. — O, dniu po trzykroć przeklęty!

Wonderlie stanął jak wryty, i usłyszał głos szofera:

— Czy nie dostanę napiwku?

— Napiwku?... — zaśmiał się portjer. — Ależ chyba nie wiecie, że odwieźliście największego sknerę w Londynie. Skąpiec ten ma jedno szczęście — głuchotę, która nie pozwala mu słyszeć, co mówią o nim.

Portjer dotknął ramienia Wonderlie i zrobił ręką ruch liczenia pieniędzy, wskazując na szofera. Wonderlie wręczył mu saty napiwek.

— Ó—Odjeżdżajcie szybko — krzyknął Simmons — bo jeszcze ten wyzyskiwacz namyślił się i zażąda reszty.

Drżąc na całym ciele, wstępował Wonderlie na schody. Tłumaczył sobie dziwne zachowanie portjera nadmiernym użyciem alkoholu. Wszedł do biura. Urzędnicy porwali się z miejsc i pochylili głowy.

— Szatan powrócił! — jęknął jakiś głos.

— Znów nas męczyć zacznie ta bestja!

— Dorobkiewicz przeklęty!

— Ty djabło wcielony, kiedyż opuścisz nas na wieki — sypały się zewsząd wykrzykniki. Kasjer, prokurenci, buchalterzy i mali gońcy przeklinali go z uśmiechem na twarzy.

Wonderlie wbiegł do swego gabinetu i ciężko opadł na fotel.

Gdy o pół do pierwszej udał się do restauracji, w której zwykle jadł lunch, kelner, usługujący mu, spytał umiowanie:

— Czem panu dziś służycie panie Wonderlie? Arsenikiem w pomidorze, czy cjankiem potasu ze szynką. Gadaj, stary łotrze!

Zaś od sąsiedniego stolika, zajętego przez grono znajomych, dobiegło go zdanie:

— Ten stary Wonderlie znów grasuje! Dobrze, że można mówić na niego wszystko i nie słyszy. Ileż obraz by powstało, gdyby słyszał tylko prawdę o sobie.

Wonderlie wziął palto, kapelusz i opuścił natychmiast restaurację.

Gdy zadzwonił do drzwi swej willi — pokojówka, dygając grzecznie, krzyknęła:

— Hej, tam, uważać, stare bydlę wróciło i znów nas zacznie piłować. Schowajcie mleko, bo skwaśnieje, gdy on na nie spojrzy.

W hallu spotkał Wonderlie syna - kalekę, który, wyciągając do niego z uśmiechem rękę, rzekł:

— Wróciłeś już na nasze nieszczęście, wyrodny ojeze! O, czemuż nie jestem zdrowy i silny. Poszedłbym, gdzie mnie oczy poniosą, i nie znoślibym dłużej twej tyranji.

Córka podała mu czoło do ucałowania, szepcząc:

— Powinam się cieszyć, ojeze, że znów cię widzę, a martwię się, że radości tej odczuć jam niezdolna. Tyś mi zatruł dni mej młodości!

Wonderlie bez słowa pośpieszył na górę. Z otwartymi ramionami czekała żona. Wonderlie spojrzał, i zdawało mu się, że widzi ją po raz pierwszy. Błada, pomarszczona twarz, okolona była pasmami siwych włosów, wyblakłe od łez oczy patrzyły z trwożliwym oddaniem, a cała postać staniała się, zmęczona jego tyranstwem i wybuchami wściekłości, które nagle uzmysłowił sobie z przeraźliwą dokładnością.

— Jesteś nareszcie, kochanie — szepnęła żona i drżącymi palcami gładziła go po policzkach i głowie. — Zażękałam już za tobą...

Dzieci ukazały się we drzwiach.

Wonderlie padł przed żoną na kolana i pokrywając pocałunkami jej wyschnięte dłonie zaszlochał:

— Przebacz mi, och, przebacz...

Cała trójka zamieniła zdumione spojrzenia.

Cóż to znaczyło?

— Czyżby mógł słyszeć, cośmy mówili? — spytał cichutko syn.

— Jakże bym chciał nigdy nie słyszeć tego! Nigdy tego nie usłyszeć! — jęknął Wonderlie, pochylając głowę do nóg żony.

Bledsza jeszcze, niż zazwyczaj, pełnym łez głosem odezwala się pani Wonderlie, gładząc pieścizotliwym ruchem włosy męża:

— Najdroższy, jeśli to istotnie prawda, że słyszysz znowu, niechaj te będą pierwsze słowa moje: kocham cię, mój jedyny, kocham nadewszystko. Nie tego człowieka w tobie kocham jakiego znają inni, ale ciebie, któryś był i jesteś — mojego męża.

Tłum Ir.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 13 czerwca 1926 roku.

Nr. 24.

U Pańskich ołtarzy.



Uroczyste modły wnoszone przez J. E. Ks. biskupa Tymienieckiego wraz z tysięcznym tłumem wiernych podczas procesji święta „Bożego Ciała“ u jednego z ołtarzy przy ul. Piotrkowskiej.

Teatralja.

„Wróg ludu”. — Poznań — Kraków —
Lwów. — Co nowego zagranicą?

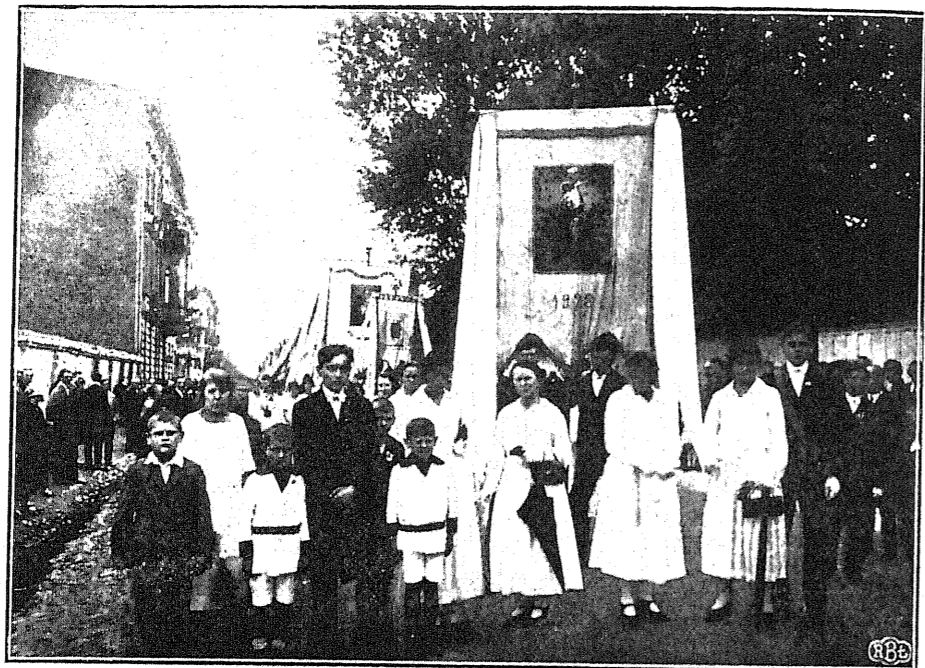
Teatr Narodowy wystawił w tych dniach oddawna niegrany w Polsce dramat Ibsena — „Wróg ludu”. Trzeba przyznać, że dzieło wielkiego dramaturga północy, budzące niegdyś wiry sprzecznych prądów i opinii, wywołujące namętne spory i najdalej idące zachwyty, zbladło nieco i zszarzało w perspektywie czasu. Ideologia behatera — Stockmana i jego słynne powiedzenie: „najsilniejszy jest człowiek, który stoi sam”, pomimo niewątpliwej prawdy teoretycznej, dźwięczy jednak nieco pusto w płaszczyźnie życia codziennego. Epoka solidaryzmu i przemian społecznych, której jesteśmy naoczniymi świadkami, wskazuje raczej na potęgę zorganizowanej gromady, jako na motor postępu i rozwoju wartości społecznych. Niewątpliwie — na szczytach myśli ludzkiej i wpatrzonych w przyszłość czynów stoją owi wielcy i dumni samotnicy, podobni Stockmanowi. Bez pomocy wszakże żywych sił otaczającej społeczności ci Ibsenowscy samotnicy byłiby dziś tylko symbolem abstrakcyjnej woli, nieuzbrojonej w możliwość twórczej realizacji.

Jak chcą niektórzy, Ibsenowska przenosi — walki dr. Stockmana z „zanieczyszczeniem wód” nie jest dość szczęśliwie skonstruowana, stanowiąc zbyt wątpliwą odskocznię dla śmiałych porывów „Wroga ludu”. Być może. Faktem jest, że dramat Ibsena nie znalazł szerszego pogłosu w zaabsorbowanej dziś polityką stolicy i przeszedł jakoś bez większego wrażenia. Nie można się tu powstrzymać od uwagi, że kilka ostatnich premier Narodowego należy zaliczyć do przedsięwzięć pod wieloma względami nieudanych.

Teatr Polski w Poznaniu zaprezentował niedawno dramat nieznanego autora, p. Bolesława Koreywy, p. t. „Grzech”. Sztuka, pozbawiona prawie zupełnie akcji i nasiąknięta mlekiem „przybyszewszczyzny” z najpierwszego jej okresu, zrobiła zupełne fiasko, pomimo nader starannego przygotowania jej przez reżysera Szpakiewicza. Poznański Teatr Nowy gra z dużym powodzeniem miłą krotkowiedlę Rapackiego „Papa się żeni”, znaną naszym czytelnikom ze złożonego o niej w swoim czasie sprawozdania.

Najświeższą premierą Teatru im. Słowackiego w Krakowie jest dramat Romain Rollanda „Gra życia i śmierci”. Jest to najpotężniejszy, najmocniejszy bodaj człon znanej trylogii rewolucyjnej. W dramacie Romain Rollanda odniósł wielki sukces w roli Courvoisiera p. Brydziński, występujący gościnnie znany artysta scen warszawskich.

Lwów pozostaje wciąż jeszcze pod wrażeniem mistrzowskiej gry Solskiego, którego wspaniałe kreacje, zwłaszcza w spektaklu „Wieczorne Trzech Króli”, oraz w dramacie Mereżkowskiego „Car Paweł I”, pozostaną bodaj nazawsze w pamięci publiczności lwowskiej. Z pozostałych



Precesja „Bożego Ciała” w Łodzi w uroczystym pochodzie przez ulice miasta.



obsady wspomnianych sztuk należy wymienić, obok mistrza Solskiego, p. Rasińską (Viola) oraz Barwińską (Anna Gagarinowa).

A teraz wyrzycimy nieco poza rodzime opłotki (paszport zagraniczny zbyteczny!) i zobaczymy, co slychać w teatrach stolic europejskich.

W Rzymie — grupa artystów teatru Pirandella wystawiła niedawno sztukę słynnego twórcy t. zw. futuryzmu (dziś to już jest bodaj, że passeizm) — Marinetti'ego p. tyt. „Wulkan”. Dziwne to widowisko, z ośmiu obrazów złożone, wywołało swą destryndaryjnością gorące protesty publiczności. Próba „pacyfikacji”, podjęta przez autora, została bezowocna. Przedstawienie musiano przerwać, a „Wulkan” pozostawiwszy trochę dymu i swędu, zgasł na scenie niesławnie. Prawdę powiedziawszy, to te futurystyczne szopki mało już kogo dzisiaj zająć mogą.

O innym eksperymencie donoszą znów z Berlina. Pisywano dotąd sztuki dwu lub trzyosobowe, że wymienimy „Prawdziwą miłość” — Bracca, „Świt, dzień i noc” — Nicodemi'ego, „Djablicę” — Schönherr. A oto autor niemiecki Arnold Bronnen (pisaliśmy już o nim w naszych zapiskach) stworzył dramat zgoła — jednoosobowy p. t. „Ostpolzug”. Jest to właściwie monolog wspomagany jedynie efektami świetlnymi i głosami za sceną. Pomimo gry znakomitego aktora niemieckiego Kethnera w tym „Ostpolzugu” efekt sztuki Bronnena wypadł dość miernie, chociaż to autor niewątpliwie z lwim pazurem.

Jedno z czasopism teatralnych podaje szereg ciekawych szczegółów o t. zw. Teatrze di Villa Ferrari w Rzymie, który powstał w r. 1923 dzięki wielkopańskiej inicjatywie księżat Ferrariach w ich własnej willi. Jest to teatr dla elity, teatr, który będąc obojętny na jakiegokolwiek sukcesy prasowe, ma za swój cel jedyny wykazanie istotnej wartości dzieła sztuki. Widownię tego „dworskiego” niejako teatru wypełnia debrane koło literacko-artystyczne, dzięki czemu atmosfera nawszkroś kulturalna pozwala na żywe i bezinteresowne zupełnie obebowanie z danym dziełem scenicznem.

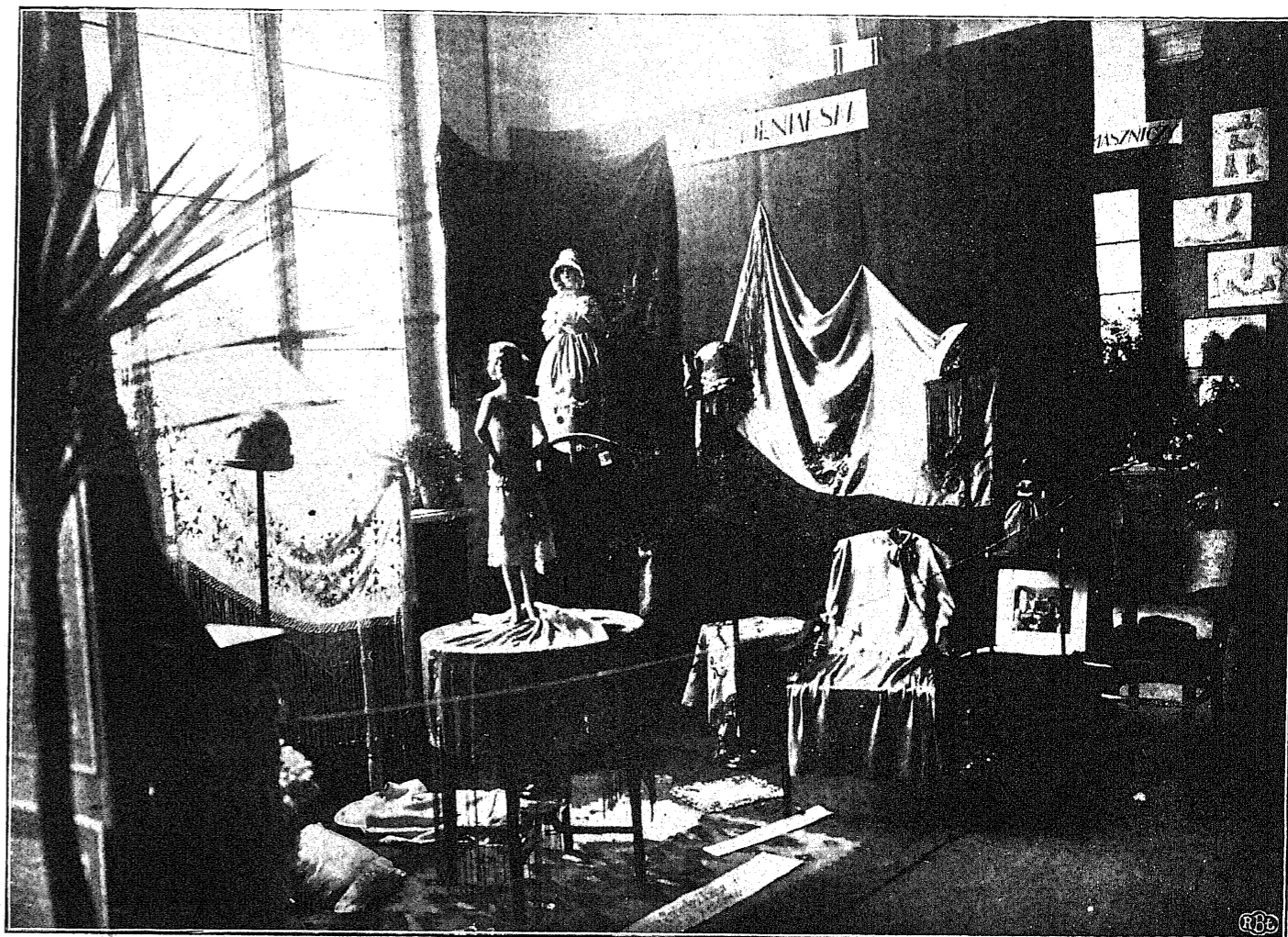
Naczelną wytyczną organizacji artystycznej tego oryginalnego teatru jest ścisłe zachowanie jedności repertuaru. W sezonie r. 1925 wystawiono sztuki Yeasta, Rosso di San Seconda, Strindberga, Vildraea, Mariani'ego i in. Na sezon najbliższy zapowiedziano: „Od poranka do północy” — J. Kaisera, „Maszynę do dawania” — Ricci'a, „Zadze” — O'Neill'a, „Księżniczkę Turandot” — Gozzi'ego i t. d.

Duszą tej imprezy teatralnej jest, obok dyrektora ks. Mario Ferrari, żona jego, księżna Olga Ferrari, która sama kreuje liczne role dramatyczne w wystawianych sztukach.

Bodaj to być włoskim księciem, posiadającym dużo pieniędzy, własny pałac, a w nim na tak wysokim poziomie postawiony teatr dla wybranych! A gdyby tak wśród arystokracji polskiej znalazł się szczęśliwy nastawca...

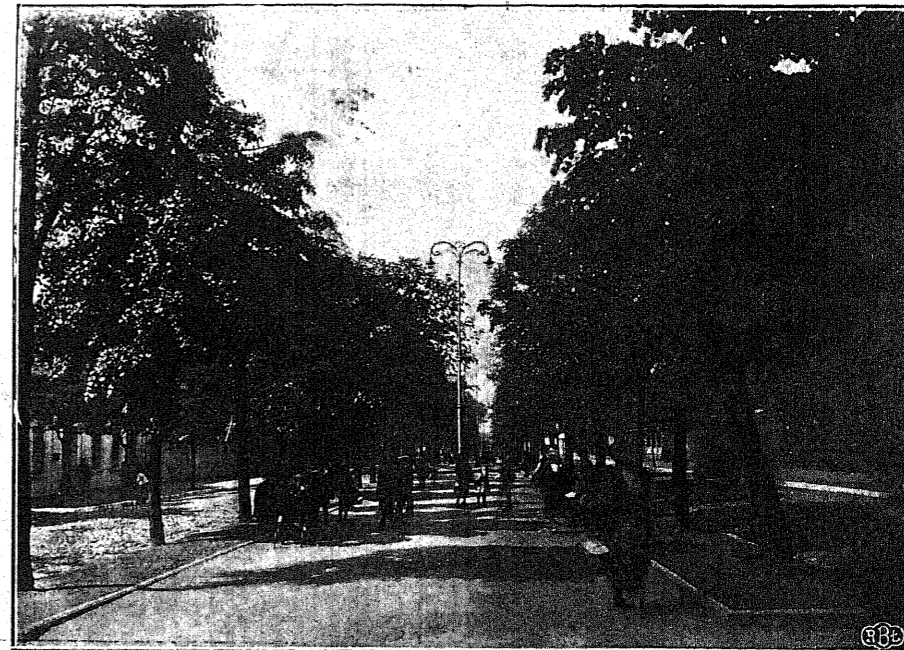
Delta.

„Arcydzieła” pracy młodzieży szkolnej.

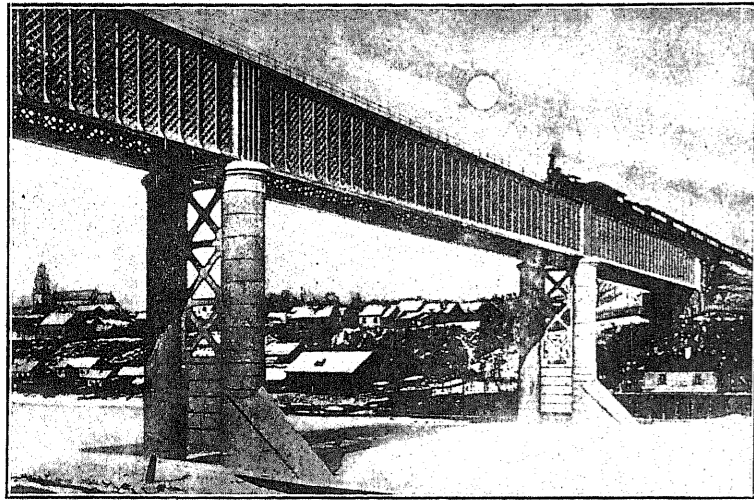


Fragment działu krawieckiego z wystawy prac uczniów i uczenic szkół zawodowych w Łodzi, otwartej w budynku Miejskiej Galerii Sztuki przy ul. Sienkiewicza.

Piękno Łodzi.

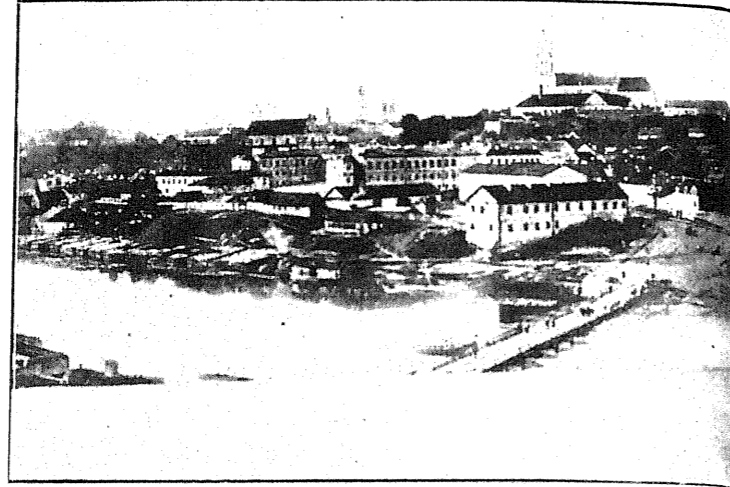


Al. Kościuszki w promieniach czerwcowego słońca.



Grodno.

Most kolejowy.

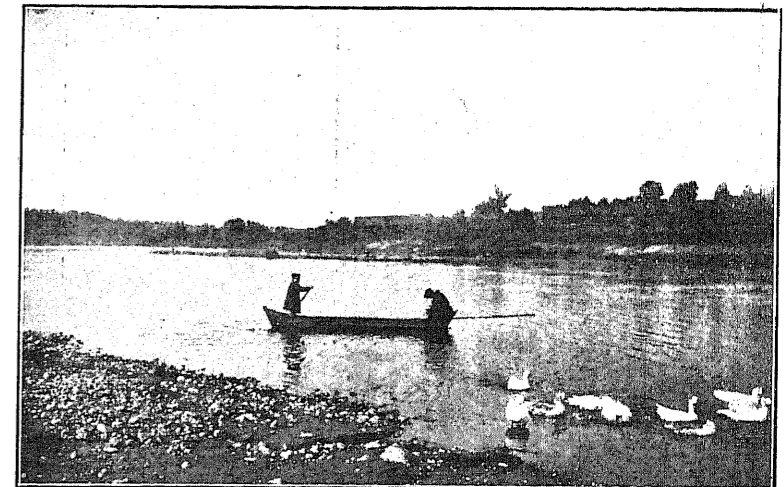


Grodno.

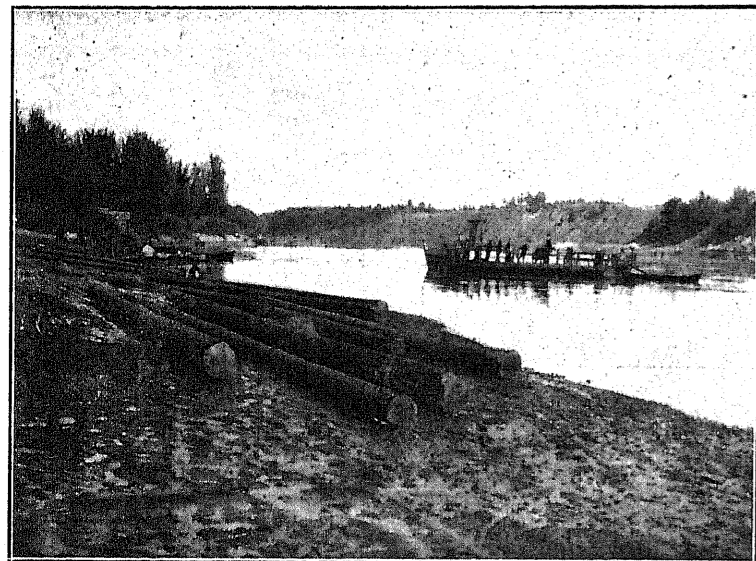
Widok z Niemna



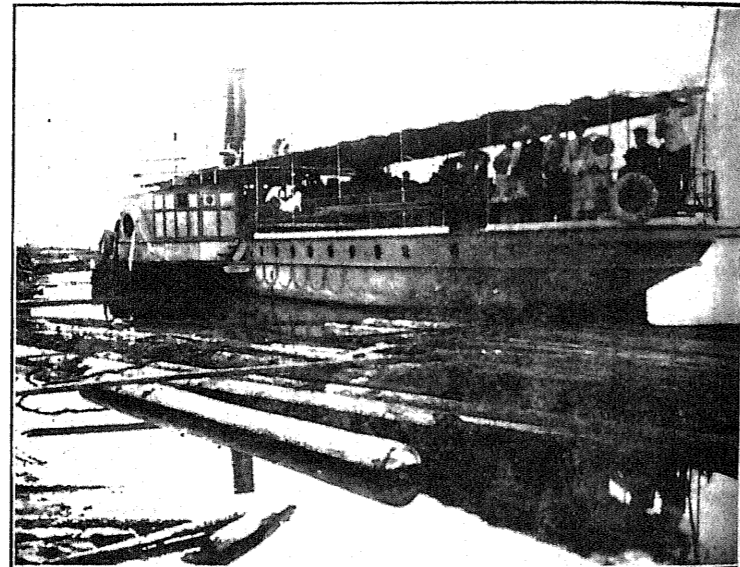
Kanał Augustowski.



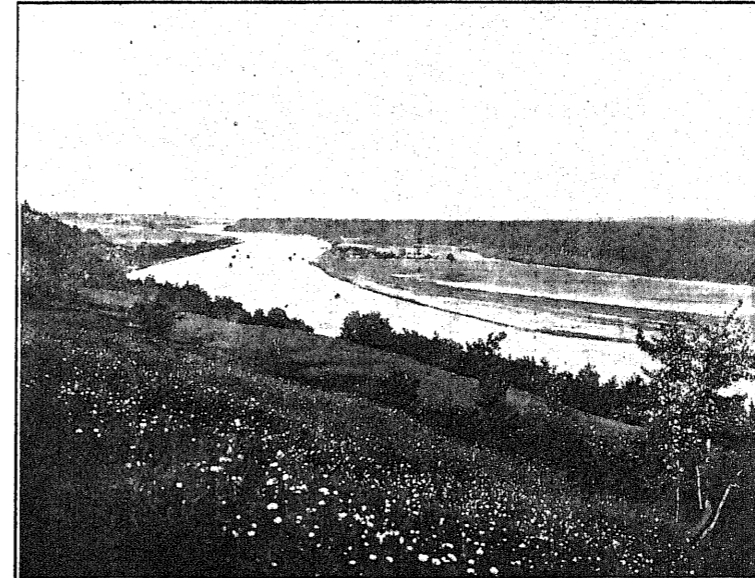
Niemen pod Olita.



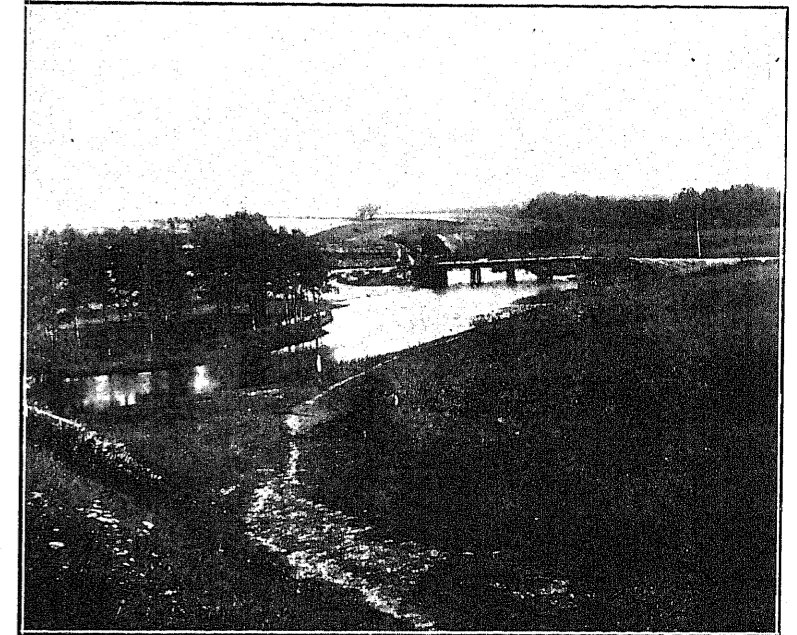
Z okolic Druskienik.



Statek na Niem

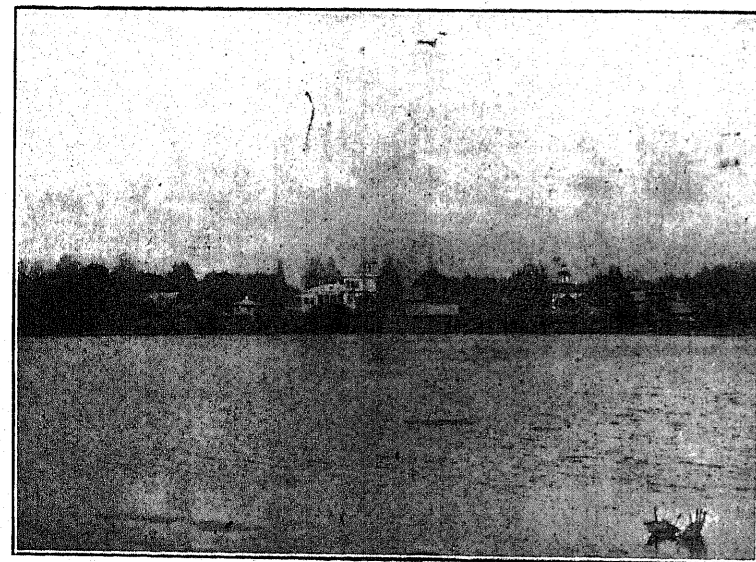


Niemen pod Balwierzyszkami.



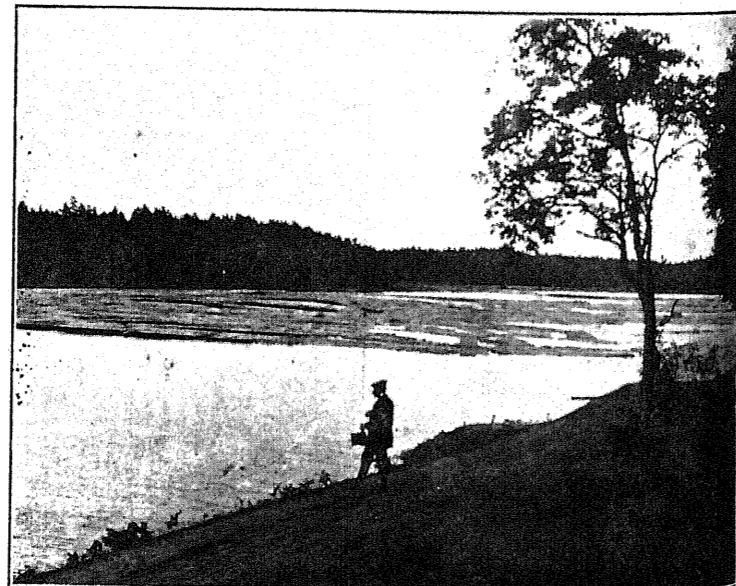
Kalwarja.

Widok od strony Kirsny.

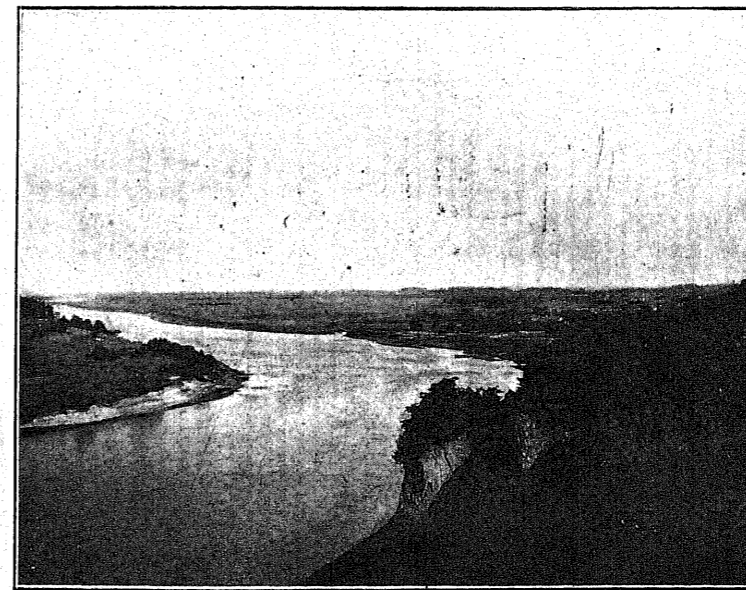


Druskieniki

Widok od strony Niemna.

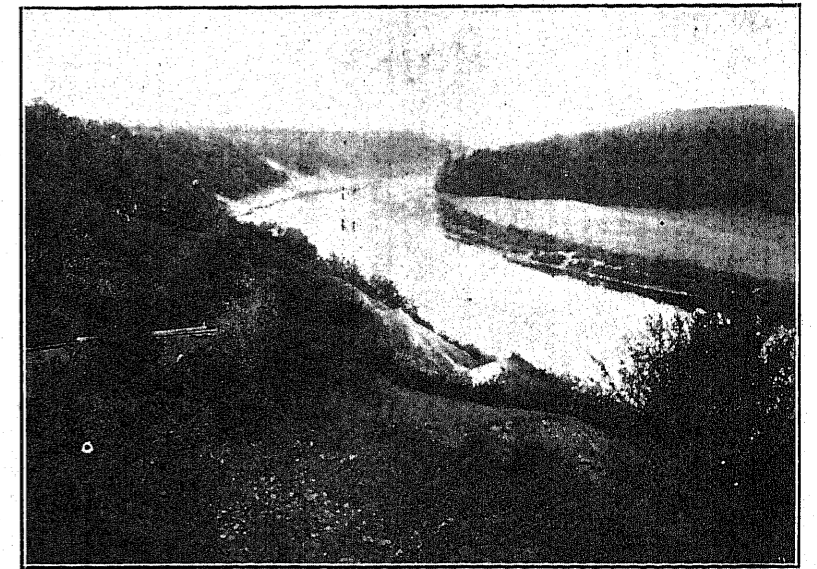


Kanał Augustowski



Balwierzyszki.

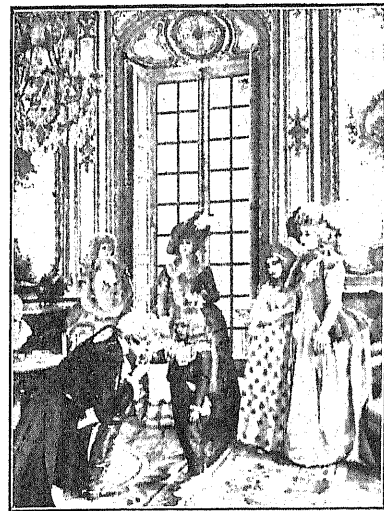
Jedno z licznych kolan na Niemnie.



Niemen pod Prenami.



olbrzymiego dramatu, osnutego na tle Wielkiej Rewolucji francuskiej a wyświetlanego obecnie na ekranie kino-teatru „Casino” w Łodzi.



SUKCESY „VARSOVII” W ŁODZI.



P. d-rowa Franćowska, śpiewaczka operowa występuje z powodzeniem w restauracji „Teatralnej”.



Doskonały humorysta polski p. Henryk Domański bawi swemi piosnkami stałych bywalców „Teatralnej”.



Ambitna drużyna lekkoatletyczna warszawskiego klubu „VARSOVIA” odniosła zasłużony sukces na zawodach urządzonych w dniu 6 b. m. przez Ł. K. S.



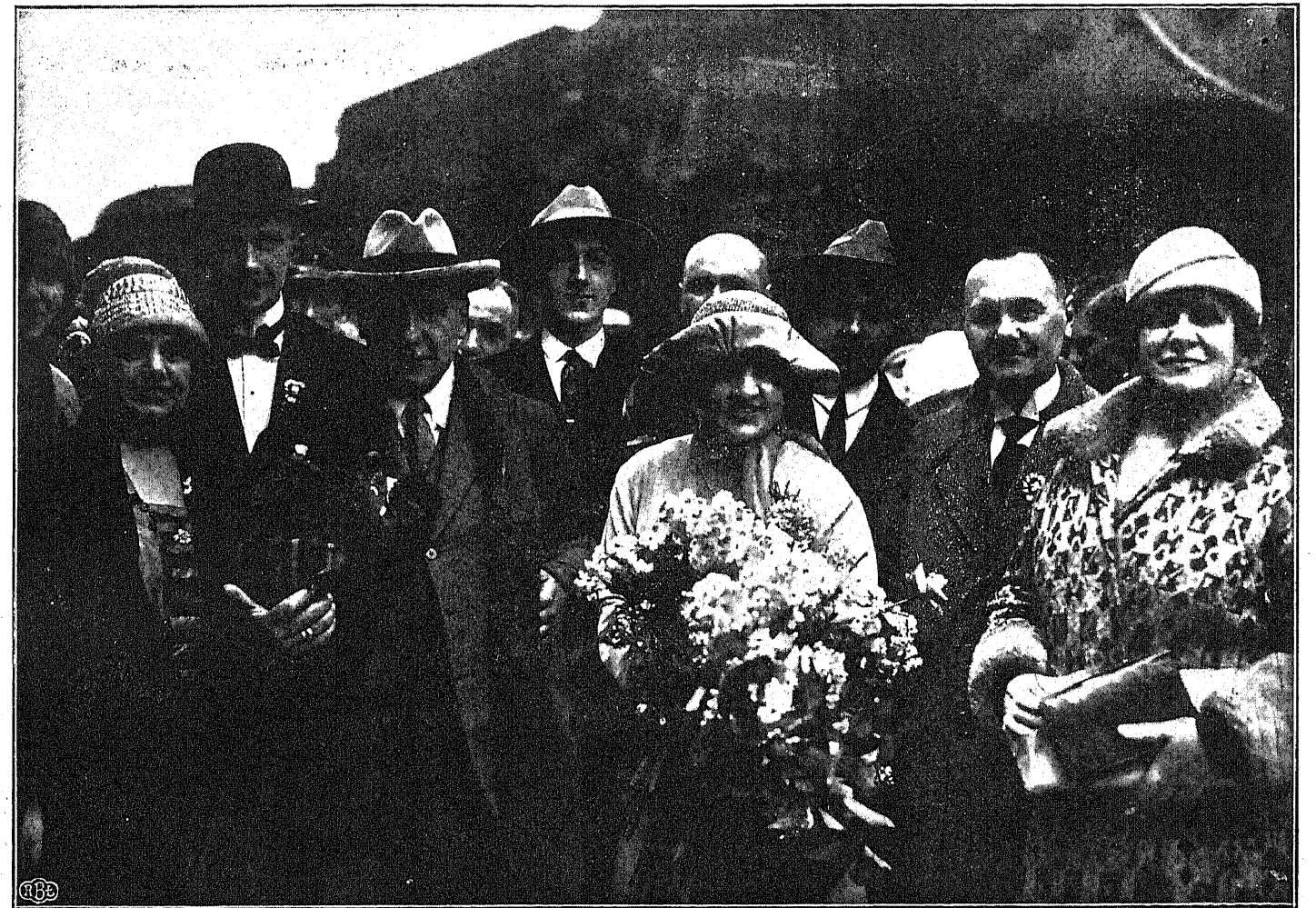
Mistrz Polski w boksie p. Ertmański zwycięską ręką wyszedł z walk o mistrzostwo Polski w ubiegłą niedzielę na ringu w Helenowie.



Noweorganizowana sekcja rugby przy Ł. K. S-ie.



Powrót znakomitego uczonego polskiego z „Czarnego Łądu”.



Powitanie prof. Ossendowskiego na dworcu w Warszawie po powrocie z wyprawy naukowej w dżungle afrykańskie.

F. Müller.

AKCJA.

Ze spadku po ciotce mojej Karolinie — przypadła mi w udziale jedna akcja.

Jedna akcja Towarzystwa Akcyjnego „Iks” wyrobu pił w Ypsylonie!

Naturalnie, że to nie imponuje. Akcjonariusz o jednej akcji? Któżby się się z nim liczył? Jest zerem. Śmiesznem nic!

A jednak... dzięki owej jedynej akcji byłem przez jeden dzień despotycznym władcą.

Ten niewiarogodny fakt miał miejsce przy niżej skreślonych okolicznościach.

Układałem plan mych letnich wycieczek. Błądziłem myślą po górach, dolinach i jeziorach, lubując się zawczasu cudami przyrody. Jednocześnie mój wskazujący palec przesuwiał się po leżącej przedemną na stole mapie geograficznej.

Wtem — cóż to? Ypsilon między dwoma złomami górskimi? Czy nie stamtąd pochodzi odziedziczona przeze mnie akcja?

Zacząłem gorączkowo szperać w błękitnej teczce z papierami, zytułowanej „Dla pamięci”.

Tam bowiem schowałem moją „Iks” akcję.

Jest. Leży między listem o zapachu fiołków i jakąś czystą ćwiartką papieru.

Przyjrzałem się jej. Rzeczywiście. Najwyraźniej widnieje nazwa „Ypsilon”.

Pod wpływem natchnienia skreśliłem na tychmiast list następującej treści:

„Do Dyrekcji Fabryki Pił Towarzystwa Akcyjnego „Iks” w Ypsylonie”.

„Jako akcjonariusz mam zaszczyt niniejszem zapytać, czy mógłbym, mając zamiar niebawem być w okolicach Ypsylonu, zwiedzić po drodze fabrykę?”

Z poważaniem”

W chwili ostatnich przygotowań do wyjazdu nadeszła odpowiedź:

„Z przyjemnością — ogólne zebranie 12 maja — zgłoszenia w banku Zed.

Z poważaniem „Iks”.

Mocno zaintrygowany, umocowałem plecak, wskoczyłem na rower i... w drogę.

Ypsilon 12. 5. Gospodarz hoteliku „Pod wichrem” zbudził mnie własnoręcznie gwałtownym stukaniem do drzwi z niespokojnego snu. Śniło mi się Ogólne Zebranie członków Tow. „Iks”. Bilans, zyski, straty, akcje, dłużnicy, wierzyciele, dyrektor, sekretarz, zarząd, akcjonariusze, robotnicy — cała armatura przedsiębiorstwa w postaci wizyj upiornych osaczyła mię zewsząd, tak, że otworzyłem oczy zlanym potem.

W okna zaglądał przeczysty błękit niebios, obojętny na wszelkie ogólne zebrania i akcje.

Wczoraj jeszcze puszysty śnieg sypał, gdym z plecakiem na ramionach i laską podróżną w rękę piał się długą serpentyną ku Ypsylonowi.

— Czy pójdę w góry? — pytał gospodarz.

— Nie — odparłem — jako akcjonariusz idę na Walne Zebranie do fabryki „Iks“.

— Tak? Na Walne Zebranie? — powtórzył gospodarz z szacunkiem, a w myśli dojrzał i markę do hotelowego rachunku.

— Gdzie jest droga do gmachu dyrekcji?

— Prosto, a potem na prawo, jaśnie panie — odpowiedział gospodarz z głębokim ukłonem.

Zadzwoiłem do biura. Nikt nie otwiera. Co za skandal! Nie stać Towarzystwo na portjera? Pchnąłem drzwi. Roztworzyły się na roście.

Przeszedłem przez pusty pokój i ujrzałem w następnym przysadzistego jegomości zmieniającego marynarkę z grubego i wyszarzanego sukna na długi czarny surdut.

— A czego tam? — zawołał do mnie.

— Jestem...

— Wiem, wiem, oferta smarów olejnych Benzigera i Co. Nie potrzeba. Mamy zapas na siedem lat. No, i, dowiedzenia, idę na ogólne zebranie. Rozumiesz pan? Ogólne ze-bra-nie!

— Idę z panem dyrektorem.

— Pan?

— Pan pozwoli, że się przedstawię: akcjonariusz Müller.

— Tak... tak... tak... dlaczego pan zaraz nie powiedział, panie... panie... panie akcjonariuszu?

Ucisnął mi rękę, spojrzał na zegarek, oznajmił, że za 10 minut zebranie się rozpoczyna, a trzej główni akcjonariusze, którzy przyjeżdżali co roku telegrafowali, że wskutek śnieżnej zamieci utknęli w drodze i wobec tego ja jestem dotychczas jedynym akcjonariuszem.

— Ile właściwie akcji pan posiada?

— Jedną — odparłem pokazując kartę wyborczą, wydaną mi przez bank Zed.

— Jedną? — zdziwił się, zmieniając znowu ton — a wie pan — ciągnął dalej — ile mają akcji ci panowie, co ugrzęźli w śniegu?.. Dwa tysiące osiemset osiemdziesiąt sześć, rozumie pan?

Nie lubię ordynarnych ludzi. Najeżyłem się więc, jak szczecina. Błyskawicznie przyszło mi na myśl parę paragrafów prawa handlowego, które studjowałem jednego z ostatnich dżdżystych dni.

— Wszystko mi jedno — odciałem się za lekceważące obejście — wszystko mi jedno — powtórzyłem — ja jestem, rozumie pan? A paragraf sześć tysięcy siedemset osiemdziesiąty dziewiąty prawa handlowego głosi, że zwyczajne ogólne zebranie uchwała niezależnie od ilości posiadanych akcji...

Sekretarz dyrekcji, który stanął we drzwiach, skinąwszy mi głową, potwierdził:

— Tak, tak, pan akcjonariusz ma słusność.

— Hm, w takim razie chodźmy — zgodził się dyrektor i udaliśmy się do sali posiedzeń.

W przedpokoju wisiał cylinder — to członek Rady Nadzorczej, miejscowy burmistrz przybył na posiedzenie. Powiesiłem obok podróżną czapkę i oddawszy buchalterowi moją kartę wyborczą do zarejestrowania, wszedłem na salę. Przedstawiono mi p. burmistrzowi, poczem z wyniosłym gestem zająłem miejsce, założwszy niedbale nogę na nogę.

Wśród uroczystej ciszy, przerywanej jedynie monotonnym warkołem maszyn w warsztatach, przewodniczący otworzył posiedzenie.

— Czy szanowni panowie akcjonariusze życzą sobie wysłuchać sprawozdania rocznego? — zapytał następnie.

— Tak — odparłem krótko.

Od stołu prezydjalnego doszedł mi eichy pomruk niezadowolonia, lecz sekretarz posłusznie zaczął czytać sprawozdanie.

Przy pozycji „różne“, przerwałem mu:

— Proszę o głos!

Przy stole prezydjalnym poruszenie.

— Czy ta pozycja obejmuje smary olejne?

Szybkie przerzucanie stron w księgach.

— Tak — odparł w końcu dyrektor.

— Dobrze. Stawiam wniosek, aby nie robić na przyszłość zapasu na siedem lat. Konjunktura w tym przemyśle jest nieobliczalna, moi panowie.

Dyrektor usiłował mrugnąć do mnie, ale udałem, że tego nie widzę.

Wreszcie przewodniczący postawił wniosek o przyjęcie bilansu i budżetu na rok przyszły. Głos jego przytem drżał nieco.

— Proszę o głos! — odezwałem się.

Oblicza prezydium zastygły w naprężeniu.

Lubowałem się przez chwilę tym kulminacyjnym punktem mej dyktatury, poczem z wolna wycedziłem:

— Nie mam nic przeciwko bilansowi i preliminarzowi budżetu —

Na twarzach prezydium odprężenie.

— ale —

Znowu naprężona atmosfera przy stole prezydjalnym.

— ale wnoszę — ze względu na ponowny wzrost dywidendy: po pierwsze: podniesienie tantiemy Rady Nadzorczej o trzy procent —

Błogi wyraz opromienił oblicze burmistrza.

— po drugie: podniesienie honorarium dyrektora o 1000 marek —

Na twarzy dyrektora radosne osłupienie.

— po trzecie: gratyfikację w wysokości 100 marek dla każdego urzędnika —

Buchalter przy stoliku u wejścia do sali zerwał się mimowoli z miejsca.

— a w wysokości 30 mk. dla każdego robotnika naszej fabryki.

Wśród podnieconego nastroju przewodniczący zabrał głos.

— Kto z uprawnionych do głosowania akcjonariuszy jest za temi wnioskami — niech podniesie rękę do góry.

Podniosłem sztywno rękę.

— Kto przeciw wnioskowi?

Opuściłem rękę.

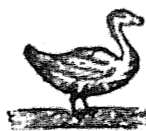
Sekretarz odczytał punkt protokołu o jednomyślnym przyjęciu wszystkich wniosków.

Po zamknięciu posiedzenia wstałem pełen godności, skloniłem się sztywno, wyszedłem z sali, wbiżyłem czapkę, minąłem szybko warsztaty, czując za plecami ścigające mnie z okien 1-ego piętra spojrzenia i epitety ujarzmionego przeze mnie na godzinę gremium organów przedsiębiorstwa akcyjnego „Iks“ i dopadłszy do lasu... rzuciłem się w miękką trawę, zanosząc się od długo tłumionego śmiechu.

Potem wyjąłem z portfela akcję ciotki Karoliny i przyglądając się drobno zapisanemu czworokątowi medytowałem nad... wszechwładną potęgą świstka papieru!

Dopiero nazajutrz zrana u brzegu modrej tafli jeziora okolonej strzelistemi skalami o śnieżnych turbalach, gdy nadaremnie usiłowałem złowić srebrzystą rybkę na przynętę z wczorajszej czerwonej kartki wyborczej, pierzeł mój poważny filozoficzny nastrój i gwizdząc wesołą piosenkę powędrowałem w kąpiące się w świeżej porannej rosie stoki górskie.

Tłum. J. Saw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 20 czerwca 1926 roku.

Nr. 25.

:-: Sukcesy warszawianki na scenie łódzkiej. :-:



P. Miła Kamińska, uroczą artystką teatrów warszawskich, święciła triumfy w ubiegłym tygodniu na scenie Teatru Miejskiego w perlającej się szampańskim humorem komedji p. Kiedrzyńskiego p. t. "Kobieta, wino, dancing".